Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

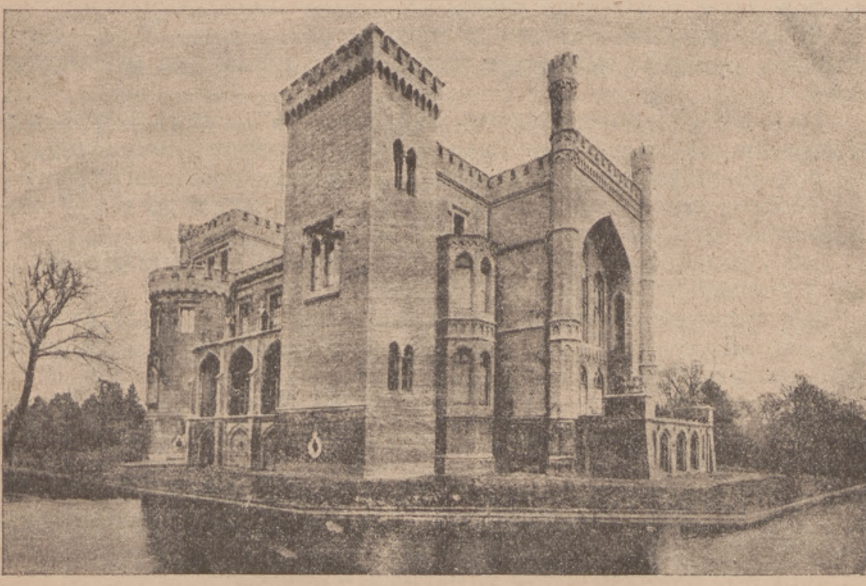
Rok IV. Październik 1923. Nr 8.



ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

Organ Kół Krajoznawczych Młodzieży Pol. Tow. Krajozn.



Zamek w Kórniku (pow. Śremski).

DR STANISŁAWA NIEMCÓWNA.

Samodzielna praca krajoznawcza młodzieży.

Jeżeli przegląda się sprawozdania Kół krajoznawczych, uderzają nas: wielka liczba referatów sprawozdawczych z przeczytanych książek oraz opowieści o odbytych wycieczkach, z których dowiadujemy się wiele o przygodach młodych krajoznawców, ale zwykle bardzo mało o okolicy, którą zwiedzali, o krajobrazie i pracy człowieka i t. d.

I to, co dają nam sprawozdania kół, już stanowi duży krok naprzód; w każdym razie czyta się i to ze zrozumieniem nowe dzieła literatury krajoznawczej, a od wczesnej wiosny do późnej jesieni „wędrujemy borem, lasem, przymierając z głodu czasem“... Ale czy taka ma być istotna treść pracy w Kołach krajoznawczych?

Trzeba koniecznie tchnąć w kierunek naszej działalności krajoznawczej nieco samodzielności.

Samodzielna obserwacja, pomiary, doświadczenia, analiza stosunków krajoznawczych, to wszystko musi przejść drogę przemiany, aby nie tylko krajoznawcy poszczególni, ale i kraj odniósł pewną korzyść.

Punktem wyjścia musi być zdobycie metodycznych wskazówek, jak pracować i ustalenie dla pewnych grup krajoznawców zakresu i treści działania.

Gdzie zdobyć tę metodę, kto nam je udzieli, kto nas wyćwiczy do samodzielnej pracy? Łatwa odpowiedź — szkoła! Tak, moi bardzo mili krajoznawcy, szkoła jedynie i sumienna praca u podstaw wiadomości szkolnych, może nas ubezpieczyć niejako i przygotować do pójścia w życie o własnych siłach.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu: robimy wycieczkę w Tatry. Zwiedzamy partję krystalicznego trzonu Tatr i północnych wapiennych stoków.

Jakże ubogi i powierzchowny będzie zakres obserwacji tych wycieczkowców, którzy pójdą w teren, nie będąc odpowiednio przygotowani z nauk przyrodniczych, etnografji, historji gospodarczej i t. d.

Zdobędą oni tylko obraz ogólny bez zrozumienia go i wytłumaczenia sobie zjawisk otaczającego ich świata.

Jak zrozumieć budowę Tatr bez znajomości mineralogji, petrografji i geologji...

Jak uchwycić krajobraz granitowego trzonu, nie przyswoiwszy sobie praw fizycznych, które zdecydowały o zaistnieniu, a następnie zaniku pokrywy lodowej w Tatrach...

Jak wytłumaczyć rzeźbę wapiennych obszarów i cuda grot podziemnych, jeśli się nie zna procesów chemicznych, którym ulega wapień pod działaniem wody...

A szata roślinna, jej zanik w kierunku pionowym i jej dostosowanie się do warunków miejscowych, czy będzie zrozumiana bez podłoża wiadomości z klimatu oraz botaniki i biologji.

Toż samo odnosi się do obserwacji faunistycznych.

Cóż powiemy o tłumaczeniu sobie warunków życia ludzkiego w górach, jeśli braknie nam przygotowania z geografji i historji gospodarczej. I tak na każdym kroku to przyroda, to człowiek swą tysiące

lat wstecz sięgającą pracą przemawia do nas i żąda rozwiązania zagadnień, obok których jakże często bez najmniejszej uwagi przechodzimy.

Powód tej nieuwagi leży tylko w naszem niedostatecznem ogólnem wykształceniu. Szkoła daje i metodę pracy samodzielnej i zaznajamia z podstawowemi wiadomościami nauk tak przyrodniczych, jak humanistycznych, ale my wolimy „po łepkach“ z najmniejszą trwałością przyswajać sobie podawany przez naszych nauczycieli materjał, a kiedy nam się oczy otworzą, już jest zapóźno, żeby z większym nakładem pracy zaczynać „da capo al fine“. To dopiero odnosi się do obserwacji.

Gdybyśmy tak chcieli nasze spostrzeżenia matematycznie, ściśle sprecyzować? Czy można ufać temu, kto całe życie odpisywał zadania matematyczne i spuszczał się przy odpowiedzi na podpowiadanie, że potrafi porządnie wymierzać staw, jezioro, jego wielkość, głębokość, zabarwienie i t. d.

A więc koniecznem jeszcze wdrażanie się do ścisłości w pracy zawsze i każdej.

Wreszcie koniecznem wzbudzanie w sobie zainteresowania otaczającem nas światem, bo to wypełni nieraz bardzo puste życie chłopców i dziewcząt naszych.

Nic, co ludzkie, nie powinno nam być obce. Tu przejście do najważniejszego kierunku pracy samodzielnej młodzieży polskiej — do pogłębienia dusz własnych i rozszerzenia serc — w myśl słów Mickiewicza.

Na każdym kroku, w każdym słowie szukać siebie samego i badać, czy mój postępek odpowiada najlepszej mojej woli służenia Bogu i Ojczyźnie.

W tak pojętej pracy samodzielnej nie tylko poznamy własny kraj lepiej i nauczymy się badać zagadnienia bytu Polski, ale także rozszerzymy znajomość tę między obcujących z nami ludzi.

Co więcej, stworzymy dla państwa polskiego zastępy pracowników ścisłych, fachowych o szczerej kulturze krajoznawczej.

FRANCISZEK SZYCHLIŃSKI.

Zamek w Kórniku (Wielkopolska).

Jednym z najpiękniejszych i najbardziej interesujących zabytków Wielkopolski jest zamek w Kórniku, który leży na południowy wschód od Poznania. I chociaż pod każdym względem zasługuje on na to, by o nim wiedziano, mało jest znany, gdyż nie znajduje się na żadnym głównym szlaku wycieczek krajoznawczych Polski. A jednak i zamek sam, jak i okolica jego, są każde w swoim rodzaju bardzo znamienne.

Najpierw o okolicy. Jest ona klasycznym, nigdzie w Polsce tak charakterystycznie nie występującym przykładem pewnych form terenu, zwanych w geografji „drumlinami“. Mają one kształt płaskich, niewysokich pagórków, podobnych do olbrzymich żółwich tarcz, które ułożone do siebie równolegle, dałyby w przekroju poprzecznym łagodną linję falistą. W zagłębieniach między pagórkami znaleźć można wyschłe już, lub istniejące jeszcze jeziorka. Powstanie „drumlinów“ odnieść na-

leży do epoki dyluwjalnej i do bytności lodowca na naszych ziemiach. Wśród wielu hipotez powstania „drumlinów“ najprawdopodobniejszą jest ta, która głosi, iż to wody z tających lodów pocięły morenę denną na podłużne wały. Krajobraz, jaki „drumliny“ wytwarzają, jest dość urozmaicony, a łagodna pochyłość stoków sprawia, iż w niczem nie stają one na przeszkodzie w pracy człowieka.

Wśród takiej okolicy, na skraju miasteczka Kórnika, otoczony dwoma jeziorami, stanął zamek kórnicki. Przytoczymy tu parę wyjątków z jego dziejów. Już w r. 1426 istniał zamek jako budowla drewniana. Zachował się bowiem dotąd w bibljotece kórnickiej kontrakt Mikołaja Górki z poznańskim mistrzem ciesielskim, w którym znajdujemy obszerny traktat o budowie zamku. Miał się składać z dwóch domów, każdy po 21 łokci długości, 10 szerokości, o trzech piętrach. Dalej wymienione są w umowie drzwi, okna, filary, schody z poręczami, balkony, baszty obronne, most zwodzony i inne. Wszystko to miało być z drzewa, tylko piwnice murowane. Na miejsce drewnianego dworu wybudował w 16 w. ostatni z Górków Stanisław († 1592) potężny gmach z kamienia w stylu późnego renesansu, z wysokim dachem i stromemi szczytami. Tu podejmował tenże sam Stanisław Górka niezmiernie okazale Henryka Walezego w r. 1574 i tu urządzał spiski i frymarki tronem do spółki ze Zborowskimi i Stadnickimi. W 18 wieku przebudowała zamek hr. Teofila Szołdrska z Działyńskich. Dzisiejszy wygląd neogotyku o formach średniowiecznych, ale odpowiadających więcej potrzebom nowoczesnym, a nawet celom praktycznym zawdzięcza zamek przebudowie, podjętej w połowie 19 wieku. Z pietyzmem podtrzymują okazałe mury dzisiejsi właściciele Kórnika, sędziwa generałowa z Działyńskich Zamojska i hr. Władysław Zamojski.

W zamku, jak i w pobliskim budynku specjalnie ku temu celowi zbudowanym, znajduje się słynna bibljoteka kórnicka, która pod względem starych druków i licznych rękopisów należy do najbogatszych w kraju i najwięcej może posiada unikatów, prawdziwych „białych kruków“. Wzrost bibljoteki datuje się od r. 1839, kiedyto Tytus Działyński przeniósł tu własne swoje zbiory z Konarzewa i zaczął je kompletować coraz to nowemi nabytkami. W r. 1874 odano Kórnikowi na przechowanie t. zw. bibljotekę Szkoły Batinjolskiej, na którą złożyły się zbiory bibljoteki Wileńskiej, bibljoteki Wersalsko-Wileńskiej, bibljoteka polska w Dijon i bibljoteka Tow. Demokratycznego. Wszystkie te bardzo cenne materjały ogłaszane były przez wielu uczonych pod nazwą „wydawnictw kórnickich“, zdobywając bibljotece rozległą, a zasłużoną sławę. Od r. 1840 do dnia dzisiejszego czerpie nauka polska bardzo hojnie z tego źródła.

Są ponadto w zamku kosztowne zbiory dzieł sztuki, m. in. stary obraz Zwiastowania N. P. M. z r. 1529, berło Łokietka z kości słoniowej, szable Batorego i Sobieskiego, siodło Jeremiego Wiśniowieckiego, srebrny stolik, podarowany przez Sobieskiego Działyńskim, ołtarz polowy z czasów Sobieskiego, puhar srebrny Sobieskiego, śliczne gdańskie szafy i wiele innych dzieł, które same wystarczyłyby na utworzenie muzeum z zakresu historycznej

kultury polskiej. Zresztą i tak nie jest zamek niczem innem w swojej przepysznej harmonji linji architektonicznych i zawartością niezwykle bogatych zabytków naszego dawnego życia tak duchowego, jak materjalnego, jak przecudnem cackiem i muzeum.

Przy zamku jest park blisko 100-morgowy, pielęgnowany starannie przez lat kilkaset, posiadający ogromną ilość najpiękniejszych roślin i drzew, rzadkie okazy różnych stref klimatycznych, starannie i z nakładem olbrzymich kosztów aklimatyzowanych przez właścicieli zamku. A wszystko to razem leży na tle dwóch pięknych, dużych jezior: Kórnickiego i Bnińskiego, na którem znajduje się stare, przedhistoryczne grodzisko słowiańskie, zbudowane na wysuniętym w głąb jeziora cyplu.

Podania ludowe z okolic Kórnika w Wielkopolsce.

1. Blisko małego miasteczka Kórnika (pow. Śremski), wśród gęstych zarośli, sterczały dawniej gruzy starego zamku. Teraz one już zupełnie zapadły, pozostał tylko jeden budynek, zużyty dzisiaj jako bibljoteka nowo zbudowanego zamku. W zwaliskach onego starego zamku ukryte są wielkie skarby, tych skarbów ma pilnować djabeł i to w postaci czarnego koguta z jednej, a jakaś młoda kobieta z drugiej strony. Nadaremnie usiłowała już kilka razy młoda ta kobieta ogromne skarby w blisko tam leżące, duże jezioro wrzucić, zawsze czarny kogut, który tam od strony jeziora leżał, łopatą je z brzękiem i hałasem napowrót odgarniał. I te brzęki i hałasy bardzo często miano tam słyszeć. Przed kilku laty wchodzono z szatanem w układy o te pieniądze i doprowadzono już do tego, iż on chciał wydać ten skarb, ale pod warunkiem, że proboszcz kórnicki miał przyjść w uroczystej procesji, gdyby jednakże chociaż najmniejszego narzędzia do procesji do trzeciego razu zapomniano, układ stawał się nieważnym. Proboszcz kórnicki się na to zgodził i po trzykroć wychodziła w tym celu procesja, ale za każdą razą zły szatan sprawił, iż zapomniano zabrać to święconej wody, to chorągwi, to świecy i t. p. rzeczy. Po nieudanej trzeciej procesji skarby z wielkim trzaskiem zapadły się głęboko w ziemię, tak że stamtąd nikt ich już nie wydostanie.

* * *

2. W okolicach Kórnika znajdują się ogromne lasy, niektóre ich części zupełnie zarośnięte są paprocią. O tej paproci różne są legendy. Ogólnie jest wiadomo, że paproć kwitnie tylko o północy i to w dzień św. Jana i tylko na jedną chwilkę, kwiat zaraz niknie. Który człowiek byłby tak szczęśliwy, iżby dostał kwiatu paproci, ten znalazłby ogromne skarby, a co najważniejsze i swoją przyszłość. Ale napróżno wielu kusiło się o tak ważną zdobycz. Okropności bowiem, które dzieją się przy rozkwitaniu kwiatu paproci pozbawiły i najprzytomniejszych przytomności, słyszano tam okropne wycie wichru, ziemia się trzęsła, a temu wszystkiemu towarzyszył jeszcze śmiech djabelski. Razu jednego ubogi wieśniak z okolicy miasteczka Kórnika dostał mimowolnym sposobem. Szukał on bowiem od kilku dni swej zbłąkanej krowy, Właśnie w nocy św. Jana szedł zasmucony, myśląc wciąż o swej zgubie, gdy o pół-

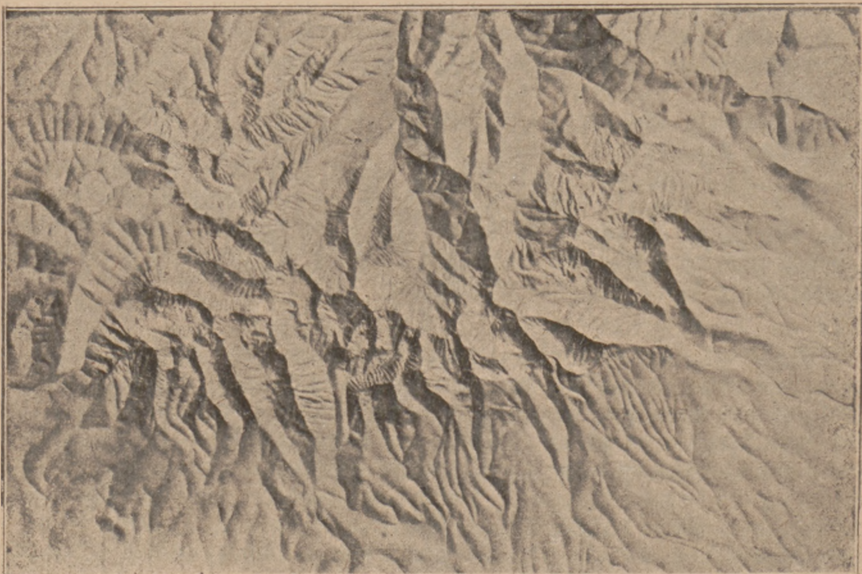
nocy wcale nie wiedząc jak wpadł mu kwiat paproci. Natychmiast znalazł zbłąkaną krowę, dowiedział się o ogromnych skarbach, leżących w pobliskim jeziorze i przewidział także przyszłość. Biedny ten wieśniak wcale nie wiedział, że posiada kwiat tak cudowny. Wróciwszy do domu, przy zdejmowaniu odzieży zgubił tak cenny kwiat. Po tej stracie zapomniał znów o skarbach, co w przyszłości będzie, już też nie wiedział i tylko tyle skorzystał, że odzyskał swoją zgubioną krówkę.

Zebrała w czasie wakacyj Paluszkiewiczówna, uczenica Uczelni Dąbrówki w Poznaniu.

Od Administracji.

Ustalając przedpłatę „Orlego Lotu“ Administracja oznaczyła ją w wysokości **jednej jednostki zasadniczej** przyjętej przez Związek księgarski — cenę zaś poszczególnych numerów na **0·12 jedn. zas.**

Chcąc uzyskać cenę rocznej przedpłaty lub poszczególnych numerów mnoży się ilość zasadniczych jednostek przez mnożnik księgarski, który w październiku wynosi 40.000. — A więc kto nadeśle 40.000 mk. otrzyma 10 zeszytów „Orlego Lotu“ licząc od dnia przysłania tej kwoty — a kto pragnie otrzymać poszczególne numery musi wpłacić po 4800 mk. za egzemplarz.



DR MIECZYSŁAW ORŁOWICZ.

Schroniska turystyczne w Polsce.

(Dokończenie).

Chwilowo ze względów na brak funduszów, urządzenie schroniska jeszcze nie jest wykończone, a wedle obliczeń zarządu „Beskidu“ do jego całkowitego wykończenia potrzebną jest jeszcze kwota równa wartości 1000 dolarów. Stwierdzić tu należy, że schronisko na Stożku jest nie tylko największem, ale i najpiękniejszem wśród schronisk w Beskidach Śląskich, przewyższając pod każdym względem a także pięknością położenia i widoków schroniska niemieckie. Ze szczytów śląskich najbardziej daje się odczuwać brak schroniska na szczycie Baraniej Góry,

dokąd ze względu na źródła Wisły kierują się liczne wycieczki. Chcąc zaradzić temu brakowi Pol. Tow. Tur. „Beskid“ w Cieszynie nosi się z zamiarem przerobienia względnie niedaleko od szczytu Baraniej Góry położonego domku myśliwskiego arcyksięcia Fryderyka w dolinie Czarnej Wisły, na schronisko dla turystów. Jak dotychczas jednakże sprawa ta nie wyszła poza stadjum projektów.

W **Beskidach Zachodnich** istnieją jak do tej pory trzy schroniska, wszystkie zagospodarowane, z nich dwa będące własnością „Beskidenvereinu“ otwarte przez cały rok. Jedno z nich stoi na stosunkowo niewysokiem, ale ze względu na sąsiedztwo miast Białej i Bielska, względnie licznie uczęszczanym szczycie Magórce (933 m.) na południowy wschód od Białej. Szczyt ten jest bardzo ożywiony w zimie dzięki dobrym zjazdom narciarskim i 3 km. długiemu torowi saneczkowemu. Samo schronisko jest to dwupiętrowa murowana willa z restauracją i szeregiem pokojów, z których część zajmują letnicy. Charakter wysokogórski na schronisko „Beskidenvereinu“ na południowych zboczach szczytu Babiej Góry (1785 metrów). Niegdyś schronisko to leżało po stronie węgierskiej, przy pierwszem wyznaczeniu granicy polsko-czeskiej w roku 1920 znalazło się po stronie czeskiej jednakże przy dokonanych na miejscu poprawach granicy w r. 1922 zostało przyznane Polsce, a obecnie słupy graniczne zbiegają ze szczytu Babiej Góry na południe w ten sposób, że schronisko pozostaje od nich o kilkadziesiąt kroków po stronie polskiej. Samo schronisko jest to niewielki budyneczek kamienny, piętrowy, z kuchnią, restauracją i pokojem dla służby i zarządcy na dole, oraz czterema pokoikami gościnnemi, na piętrze. Obliczone jest na pomieszczenie 16 osób, to też wycieczki liczniejsze nie powinny reflektować na nocleg w tem schronisku położonem tuż pod szczytem, ale pozostawać raczej w oddalonym 1½ godziny drogi od szczytu położonym na jego północnych zboczach schronisku Polskiego Tow. Tatrzańskiego (Oddział Babiogórski) na Markowych Szczawinach. Jest to drewniany długi dom parterowy, ukryty na niewielkiej polance wśród lasu, zdala niewidoczny, stojący na poziomie około 1150 m. w miejscu gdzie schodzą się trzy kolorowemi znakami znaczone szlaki, wiodące różnemi drogami z Zawoi na Babią Górę. W r. 1922 zostało schronisko to powiększone przez dobudowę hali dla wycieczek zbiorowych. Niezmiernie sympatyczny zarządca schroniska i jego żona, górale z Zawoi prowadzą przy schronisku małą gospodę, w której można za bardzo niską opłatą dostać nabiału, potraw z jaj, herbaty i owoców leśnych. Frekwencja schroniska szczególnie w miesiącach wakacyjnych jest bardzo znaczna, a w noce poprzedzające święta jest ono zazwyczaj jak i schronisko na samym szczycie zapełnione do ostatniego miejsca.

Z innych bardziej popularnych szczytów Beskidów Zachodnich żaden nie posiada dotychczas schroniska dla turystów. Na słynnych z pięknego widoku szczytach Raczej Hali (1250 m.), Pilsku (1557 m.), i najwyższym szczycie Gorców w Turbaczu (1311 m.) zastępują schroniska w zupełności w miesiącach letnich bardzo blisko od szczytów położone szałasy, gdzie gościnni górale za niewielką opłatą ofiarowują podróżnym nabiał i nocleg. Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego „Gorce“

w Nowym Targu nosi się zresztą z zamiarem budowy schroniska na Turbaczu, zaś oddział Babiogórski P. T. T. w Żywcu schroniska na Pilsku.

W **Tatrach Polskich** jest wprawdzie schronisk wiele, za wyjątkiem jednego, należących do Polskiego Tow. Tatrzańskiego, ale stan ich nie wyłączając nawet schroniska przy Morskiem Oku jest nie nadzwyczajny, a na ogół nie wystarczają one nawet w części na ten olbrzymi ruch turystyczny, jaki rozwinął się w Tatrach w ostatnich latach, to też dziesiątki osób, szczególnie młodzieży szkolnej, nie mogąc zdobyć noclegów w przepełnionych schroniskach zmuszone są niejednokrotnie tak przy Morskiem Oku, jak w Rostoce, w Pięciu Stawach Polskich i na Hali Gąsienicowej spędzać noc pod gołem niebem w kosodrzewinie lub w lesie, na zimnie, wietrze lub deszczu, co bynajmniej nie podnosi uroku wycieczek. W chwili obecnej istnieją w Tatrach następujące schroniska Polskiego Tow. Tatrzańskiego: piętrowe schronisko drewniane przy Morskiem Oku, połączone z restauracją, zbudowane w r. 1894, parterowe schronisko w Rostoce, parterowe drewniane bardzo szczupłe schronisko przy Pięciu Stawach Spiskich, oraz takie samo obecnie już zupełnie zniszczone schronisko na Hali Gąsienicowej. Tatrzańskie Tow. Narciarzy posiada nadto schronisko na Kalatówkach, które w najbliższej przyszłości ma być przeniesione na Halę Goryczkową, gdyż w obecnem miejscu odgrywa ono rolę raczej restauracji niż schroniska. Nadto Sekcja Narciarska Tow. Tatrzańskiego zaopatrzyła na zimę urządzając w nich rodzaj schroniska szałas na Hali Pysznej za doliną Kościeliską i leśniczówkę w dolinie Chochołowskiej na rogu doliny Starorobociańskiej. Oddział Warszawski Tow. Tatrzańskiego rozpoczął w r. 1921 budowę dwupiętrowego granitowego schroniska na Hali Gąsienicowej, obliczonego na 200 osób, które po wykończeniu będzie największem schroniskiem w Tatrach i Karpatach. Dotyczas przy ogromnym nakładzie pracy dzięki pomocy władz wojzkowych i darowiźnie 600 m^3 drzewa przez marszałka Uznańskiego z sąsiednich lasów mury schroniska doprowadzono pod dach, a istnieje nadzieja, że w roku bieżącym budowla ta zostanie na tyle wykończoną, że z końcem jesieni parter będzie mógł być oddany dla użytku narciarzy. Oddział Warszawski główną swą troskę poświęca sprawie gromadzenia funduszów potrzebnych dla wykończenia schroniska, które jak obliczono wynosić będą jeszcze wraz z kosztami wewnętrznego urządzenia około 30.000 dolarów.

Na odbytem 22 kwietnia 1923 w Krakowie walnem zgromadzeniu Towarzystwa Tatrzańskiego przyjęto jako zasadę naczelną i obowiązującą, że nowych schronisk poza istniejącemi nie buduje się nigdzie na obszarze obecnych Tatr Polskich, objętych projektem parku narodowego, natomiast pożądaną jest już teraz rozbudowa, względnie zupełna przebudowa z ewentualnem przeniesieniem w obrębie jednej okolicy (doliny) tatrzańskiej już istniejących schronisk. Jako najpilniejsze roboty na rok 1923 uchwalono obok wykończenia schroniska granitowego na Hali Gąsienicowej zbudowanie przy Morskiem Oku hali drewnianej dla zbiorowych wycieczek szkolnych na miejscu starego schroniska stojącego poniżej moreny, w dalszej linji projektowane jest też rozszerzenie schroniska przy Pięciu Stawach Polskich.

Odnośnie do terenu Tatr należącego do gminy Jaworzyna Spiska, na którem dotychczas żadnych schronisk niema, uchwalono, aby w razie przyznania go Polsce także w przyszłości żadnych schronisk nie budowano, chcąc teren ten zachować w stanie dziewiczym. Wyrażono natomiast opinję, że pożądanem jest zbudowanie schroniska, ewentualnie domu wycieczkowego na Łysej Polanie, jako w miejscu leżącem u wejścia do Tatr Wysokich, jeszcze poza obrębem terenu, który ma być w przyszłości parkiem narodowym. Być może że stanie tu schronisko im. Heleny Dłuskiej, które zamierza wznieść rodzina i przyjaciele dla uczczenia pamięci zgasłej przedwcześnie w Ameryce taterniczki.

Pieniny schronisk turystycznych niestety nie posiadają wcale, a t. zw. „Schronisko“ zbudowane przed wojną nad Dunajcem przez Oddział Pieniński P. T. T. niedaleko ujścia Leśnickiego Potoku jest właściwie restauracją wycieczkową dla gości ze Szczawnicy, która dla turystów nie ma żadnego znaczenia. W górach tych daje się jednakże odczuwać brak schroniska w okolicy szczytu Trzech Koron, szczególnie odkąd się zawalił stojący tam przed wojną na polanie szałas, przedewszystkiem jednakże w Sromowcach, skąd wobec utrudnienia kordonem granicznym dostępu do Czerwonego Klasztoru rozpoczyna się podróż łodzią Dunajcem. Potrzebę domu wycieczkowego w Sromowcach podkreśliło ostatnio walne zgromadzenie Towarzystwa Tatrzańskiego, polecając Oddziałowi Krakowskiemu P. T. T. wszczęcie starań o jego urządzenie.

W **Beskidzie Sądeckim** jak dotychczas żadnego schroniska turystycznego niema, istnieje jedynie projekt jego budowy na Prehybie, szczycie między Starym Sączem a Szczawnicą. Odczuwać się też daje brak schroniska na Jaworynie, szczycie licznie odwiedzanym przez gości kąpielowych z Krynicy.

W **Beskidach Środkowych** jak już zaznaczyłem poprzednio niema żadnego schroniska turystycznego na przestrzeni kilkuset kilometrów od doliny Popradu (linja Sącz-Krynica), aż po dolinę Oporu (linja Stryj-Ławoczne). Jest to ta część Beskidów, która jak dotychczas nie doznaje zupełnie opieki czy to ze strony Towarzystwa Tatrzańskiego czy też jakiejkolwiek innej organizacji turystycznej.

Bieszczady słynne z idealnych terenów narciarskich otrzymały niedawno odbudowane po wojnie, a poświęcone 11 marca 1923 nowe schronisko Karpackiego Tow. Narciarzy w Sławsku. Poprzednie zbudowane w r. 1912, posiadające 40 łóżek, a przedstawiające się jako gustowna piętrowa willa zostało dnia 15. lutego 1915 spalone przez Rosjan w czasie nocnej bitwy pod Sławskiem, dla oświetlenia stoku góry, przez który spodziewali się ataku Austrjaków. Dzięki energji i pracy obecnego prezesa Karpackiego Tow. Narciarzy we Lwowie prof. Zygmunta Klemensiewicza zostało schronisko już odbudowane, jako dwupiętrowa willa z podmurowaniem, obliczona na pomieszczenie 100 osób. W porównaniu z poprzedniem schroniskiem jest obecne wprawdzie znacznie większe przedstawia się jednakże mniej estetycznie. Lwowski Klub Sportowy „Pogoń“ utrzymuje w miesiącach zimowych dla członków swej sekcji narciarskiej schronisko w niedaleko od Sław-

ska położonej Tuchli, a sekcja narciarska klubu „Czarni“ we Lwowie ma zamiar w najbliższej przyszłości wznieść w Sławsku drugie schronisko narciarskie.

Gorgany, ta najbardziej pastu część Karpat Polskich, jak dotychczas schroniska turystycznego nie posiadają wcale, aczkolwiek jego potrzebę odczuwają dość silnie nieliczni coprawda turyści, jacy zwiedzają obecnie Gorgany Centralne. Oddział Lwowski Tow. Tatrzańskiego nosi się z zamiarem budowy schroniska w okolicy Osmołody. Chwilowo muszą schroniska zastępować nieliczne leśniczówki w dolinach a w górach domki myśliwskie (szałasów w Gorganach Centralnych niema) i stosunkowo liczne baraki i ziemianki oficerskie, jakie pozostały po wojnie europejskiej, a z których wiele zachowało się do dzisiaj jeszcze w stanie zdatnym do użytku. Na przełęczy między Ihrowyszczem a Sewulą, najwyższym szczytem Gorgan, na poziomie ponad 1300 m. n. m. stoi nawet całe miasto baraków, w których w r. 1915—1917 mieściło się kilka tysięcy żołnierzy.

Czarnohora posiadała przed wojną dwa schroniska, na Zaroślaku u stóp Howerli, oraz na Poliwnym na południe od Popa Iwana, zaś we wsiach leżących u stóp Czarnohory istniały dwa „dworki czarnohorskie“, w Worochcie i w Żabiem, połączone z restauracjami, które odgrywały również rolę schronisk dla turystów w tych dzikich i pustych okolicach. Tak schroniska jak i dworki powstały z inicjatywy Oddziału Czarnohorskiego P. T. T. w Kołomyi, a przedewszystkiem jego prezesa majora Henryka Hoffbauera senjora turystów polskich. Niestety większość tych urządzeń zniszczyła wojna. Obydwa schroniska na Zaroślaku i na Poliwnym zniszczały zupełnie, dworek czarnohorski w Worochcie ogołocono z urządzenia, to samo dworek czarnohorski w Zabiem. Dworek w Worochcie został już odrestaurowany, na nowo urządzony i służy z powrotem jak dawniej zarówno jako schronisko dla udających się na Czarnohorę turystów, jak i jako rodzaj kasyna dla letników z Worochty. Natomiast dworek czarnohorski w Zabiem, który jako tako przetrwał wojnę europejską i kilkoletni okres inwazji rosyjskiej, uległ zniszczeniu dopiero w czasie wojny 1920 r., a obecnie jest to rudera z dziurawym dachem, bez drzwi, okien i umeblowania, nie mogąca oddać żadnej usługi turystom. W razie odbudowy byłoby pożądane przeniesienie tego dworku z Zabiego-Słupejki, do przysiółka Zabie-Ilcia, leżącego na skrzyżowaniu dróg do Burkutu i do Worochty, leżącego o 6 km. bliżej do Czarnohory niż Słupejka, gdzie stojące schronisko oddawałoby większą przysługę wracającym z Czarnohory do Worochty turystom, niż poprzedni dworek w Zabiem-Słupejce, do którego trzeba było nakładać 12 km. drogi. Odbudowa schroniska na Zaroślaku pod Howerlą ma się rozpocząć w bieżącym roku, a Oddział Czarnohorski otrzymał już w tym celu 100 m^3 drzewa z lasów rządowych.

Jak widzimy z powyższego zestawienia ani stan schronisk górskich w Polsce, ani ich ilość nie jest bynajmniej zadowalniająca. W jednych partjach gór niema ich wcale, w innych a w szczególności w Tatrach za mało i za szczupłe. Nawet najlepiej w schroniska zaopatrzone Beskidy Zachodnie i Śląskie nie posiadają jednakże w chę-

tnie przez turystów odwiedzanych partjach gór, jak Pieniny oraz na takich szczytach, jak Barania Góra, Pilsko i Turbacz.

Należy jednakże mieć nadzieję, że z jednej strony ilość domów wycieczkowych w miastach dzięki pracy Polskiego Tow. Krajoznawczego i jego oddziałów, popartej przez magistraty miast, a z drugiej strony ilość schronisk górskich dzięki pracy Polskiego Tow. Tatrzańskiego i jego oddziałów, powiększy się wkrótce wydatnie, stwarzając brakujące jeszcze dzisiaj podstawy do rozwinięcia się ruchu krajoznawczego i turystycznego.

Wycieczka Koła krajoznawczego Gimnazjum SS. Urszulanek w Poznaniu.

3-go kwietnia o godz. 7·30 wyjechałyśmy z Poznania na wycieczkę na Górny Śląsk. Poranek pochmurny i mglisty, nie zapowiadający ładnej pogody, bynajmniej nie psuł nam humorów. Podróż koleją odbyła się bez żadnych przygód, dzięki dobroci i uprzejmości ojca jednej z uczestniczek, który wystarał się dla nas o wolne przedziały i polecił konduktorowi je zamknąć tak, że jechałyśmy, jak zaczarowane księżniczki. Podróż zeszła nam bardzo prędko i miło na rozmowie, zabawie i podziwianiu ładnych okolic, które poza Kępnem stawały się coraz bardziej górzyste i malownicze.

O godz. 19.30 byłyśmy już w Katowicach, gdzie nas oczekiwała na dworcu p. Hyllowa z córką i pp. Korfantówne. W ich towarzystwie udałyśmy się do Sierocińca, utrzymywanego przez SS. Karmelitanki III-go zakonu, gdzie miałyśmy nocować. Siostry przyjęły nas z wielką serdecznością, ofiarując wycieczce pomimo własnej niewygody aż 4 sypialnie. Tu zostawiłyśmy nasze pakunki i skorzystałyśmy z zaproszenia państwa Hyllów. W miłem ich towarzystwie spędziłyśmy czas bardzo przyjemnie i wesoło. Po powrocie i wspólnym pacierzu rozeszłyśmy się do przeznaczonych nam sypialni. Nasza sypialnia była mała i trochę zimna, ale mimo to czułyśmy się w niej wspaniale.

Nazajutrz przyjechał kierownik wycieczki ks. prof. Janicki. Po śniadaniu udałyśmy się do cukierni, której właścicielem jest ojciec jednej z koleżanek. Tam ugoszczono nas wspaniałem drugiem śniadaniem, poczem pojechałyśmy tramwajem do Mysłowic. W tramwaju miałyśmy sposobność zobaczenia typów śląskich i usłyszenia tutejszej gwary. W czasie jazdy wywiązała się sprzeczka, wywołana przez Niemkę, która w obelżywy sposób wyrzucała nam, jako Polkom zabieranie miejsc tutejszej ludności. Z zajścia tego zdałyśmy sobie jasno sprawę, jak wrogie i niemiłe stosunki są między Polakami a Niemcami na Śląsku, a zwłaszcza na terytorjum Katowic.

Mysłowice jest to miasteczko nieduże, toteż po kilku minutach zostawiłyśmy je poza sobą, podążając w stronę wieży, zbudowanej na pamiątkę bytności trzech nam wrogich cesarzy, którzy rozebrali Polskę. W miejscu tem łączyły się granice trzech zaborów Polski. Wchodzimy na blok, na którym wznosi się wieża. Krajobraz prześliczny. Z jednej strony rozciągają się lasy, wpadające to w fiolet, to w granat, lekko

przykryte mgłą. Dalej niebotyczne Beskidy jednak mało widoczne z powodu mgły, a z trzeciej czerni się las kominów. Do wnętrza wieży nie wchodzimy, gdyż dość trudno się do niej dostać. Jednak kilka odważnych dziewczynek, pomimo braku schodów dostaje się do wnętrza przez okno. Nie przedstawia ono jednak nic ciekawego, gdyż jest zupełnie puste.

O godz. 13-tej wyjechałyśmy do Katowic, a po południu pojechałyśmy do Królewskiej Huty dla zwiedzenia kopalni węgla. Pociąg mknął przez okolice, jeżące się od kominów, gdyż Górny Śląsk jest terenem bardzo przemysłowym. Po przybyciu do Królewskiej Huty już zdaleka poznałyśmy symbol kopalni to jest dwie tarcze, kręcące się w przeciwną stronę, umieszczone na wieży żelaznej.

Kopalnia jest bardzo duża i składa się z kilkunastu budynków. Pozwolenia na zwiedzenie udzielił nam p. dyr. Rowiński i towarzyszył wycieczce przy zwiedzaniu. Wchodzimy do pierwszej hali. Ruch i praca panują tu w całej pełni. Turkot i hałas machin, sygnały i jeżdżące wagoniki oszołomiły nas w pierwszej chwili. W hali tej widziałyśmy, jak dwie windy wjeżdżają i zjeżdżają napowrót. Kiedy jedna, napełniona wagonikami z węglem, podnosiła się w górę, druga próżna spuszczała się w dół. Trwa to nieustannie z niesłychaną szybkością, gdyż na spuszczenie windy trzeba 20-tu sekund. Następnie wózki automatycznie zjeżdżają w dół i przewracają się, wysypując swą zawartość. Węgiel spada na kręcące się koło, które je sortuje. Każdy gatunek swoją drogą toczy się w dół i odrazu napełnia wagony. W innej znowóż hali oglądałyśmy machinę o dzielności 360 koni, która nadaje ruch całej kopalni, a więc przedewszystkiem wyciąga windy, napełnione węglem lub górnikami, a także wypompowuje wodę, chroniąc kopalnię przed powodzią. Prawdziwym bohaterem jest człowiek, który kieruje motorem tej machiny. Przez 7 godzin dziennie wzrok jego nieruchomo spoczywa na tablicy z podziałką centymetrową, która jest umieszczona przed nim, zdając sobie sprawę, że sekundowa nieuwaga może spowodować ogromne nieszczęście.

Następnie przeszłyśmy do hali, z której miałyśmy się spuścić do szybu. Przed wejściem do windy rozdano nam lampki. Weszłyśmy do niej, dano sygnał i zanim zdołałyśmy się opamiętać, już jechałyśmy w dół. Ciemność i cisza, przerywana pluskiem kapiącej wody, otoczyła nas zewsząd. Chociaż jechałyśmy tylko kilka sekund, jednak jazda ta wydała nam się bardzo długa. Po wyjściu z windy kilku górników powitało nas zwykłem pozdrowieniem „szczęść Boże". Ogromnie byli ucieszeni, gdy zobaczyli, że i Siostry z nami zwiedzają kopalnię, bo chociaż pracują tu od kilkudziesięciu lat, jednak po raz pierwszy widzą zakonnice we wnętrzu kopalni. Następnie długim, niskim, betonowanym korytarzem doszłyśmy do pierwszych drzwi żelaznych. W razie zalania korytarza drzwi te zamykają się, ażeby do dalszych części woda nie mogła się dostać. Kopalnia składa się z 6-ciu pokładów węgla, które stanowią szyb. Szyb, do którego spuściłyśmy się, był głęboki na 180 metrów. Kopalnia jest bardzo duża, gdyż zatrudnia 2558 robotników i produkuje dziennie 8.000 ton węgla. Przy kopalni znajduje się lodownia, fabryka wód mineralnych, pralnia i łaźnia.

Zwiedzałyśmy także bardzo oryginalną szatnię, w której ubrania górników, które zostawiają przy spuszczeniu do szybu, powieszone są na wysokości jednego piętra na osobnych łańcuszkach. Wygląda to bardzo zabawnie i oryginalnie.

Następnie przeszłyśmy do cechowni. Cechownia jest to lokal, w którym górnicy zbierają się w wolnych chwilach. W pierwszej izbie znajduje się obraz św. Barbary, patronki górników. Dawniej górnicy przed pracą zbierali się celem wspólnej modlitwy. Podczas wojny zanikł ten piękny zwyczaj. W cechowni poczęstowano nas wodą sodową własnego wyrobu.

Powróciwszy do Katowic spędziłyśmy wieczór bardzo miło u państwa Korfantych. We czwartek przed południem zwiedziłyśmy chorzowskie zakłady przetworów azotowych. Zwiedzenie zakładu poprzedził p. dyr. Brzozowski krótkim wykładem o wyrobie azotu. Zakład ten jest bardzo duży, pokryty pyłem, co sprawia wrażenie śniegu. Przy wejściu do fabryki uderza powietrze, które drażni błony śluzowe. W pierwszej hali widziałyśmy jeżdżące wagoniki na wysokości drugiego piętra. Jest to machina, obsługiwana przez jednego tylko robotnika, spuszczająca wagonik, który zatrzymywał się nad dołem, napełnionym węglem, poczem otworzywszy swe boczne ściany, jak gigantyczny smok, nabierał w otwartą paszczę ogromną ilość węgla. Natępnie podnosił się w górę i wysypawszy swą zawartość spuszczał się po nowy ładunek. Następnie widziałyśmy kocioł, w którym koks z wapnem ogrzewa się. W mięszaninie tej tlen spala się na dwutlenek przy temperaturze + 3000^0, wytworzonej przez łuki Wolty. Jeden piec taki przetapia 60.000 kg., a pieców takich znajduje się w zakładzie aż 7-em. Pod wpływem gorąca mięszanina ta zamienia się w karbid. Pod piecem jeżdżą wagoniki, do których przez rusztowanie spływa płynna ognista masa, która następnie się ochładza. Karbid mielony rozpala się znowuż przy temperaturze + 1000^0 i przez dodanie azotu tworzy się z niego azotniak. Azotniak odsyła się do laboratorjum celem zbadania procentu azotu, od czego zależy wartość azotniaku. W laboratorjum pokazywano nam skroplone powietrze o temperaturze — 180^0. Wlewałyśmy do niego wodę, która z początku robiła wrażenie, że się gotuje, a następnie zamieniła się w lód o matowym kolorze. Fabryka ta jest bardzo duża, zatrudnia 2300-tu robotników, a w pobliżu niej znajduje się jedna z największych elektrowni w Polsce.

Wchodziłyśmy także na wieżę 120-cia metrów wysoką, skąd doskonale widziałyśmy całą okolicę. Po południu zwiedziłyśmy hutę Marty, tym razem w Katowicach. W hucie tej rudę, przywożoną z Szwecji, przetapiają na żelazo. Następnie żelazo rozpalone przechodzi przez kilka walców dla spłaszczenia. Ślicznie wygląda żelazo, wyjęte z pieca i mające postać ognistego węża, pełzającego po posadzce.

Następne dwie godziny były poświęcone na zwiedzenie miasta, a właściwie na zakupy. Widziałyśmy rynek zwyczajny, nawet bez ratusza i kilka ulic, nie odznaczających się niczem szczególnem. Jednym słowem miasto dość duże, czysto przemysłowe, zwane małym Londynem dla wielkiej ilości banków.

O godz. 20.48 wyjechałyśmy do Rybnika, a o godz. 20·35 byłyśmy już na miejscu. Na dworcu oczekiwał nas Ojciec Puchała, misjonarz od Słowa Bożego, który zaprosił nas na kolację. Nocowałyśmy u SS. Franciszkanek, które mają w Rybniku szpital. Nocleg ten wydał się nam królewskim, gdyż odstąpiono wycieczce aż dwie duże i ciepłe sypialnie.

W piątek zwiedziłyśmy w Paruszowcu, odległym o 4 km. od Rybnika, fabrykę naczyń emaljowanych. W fabryce tej, największej na całym świecie, z żelaza, wyrabianego w hucie Marty, wyrabiają najrozmaitsze naczynia. Nasamprzód po wycięciu potrzebnego kawałka żelaza, nadają mu formę, hartują i lutują. Następnie maczają w emalji i wypalają. Dzięki uprzejmości kierowników fabryki, widziałyśmy cały przebieg fabrykacji naczyń aż do transportu gotowych rzeczy, z których pozwolono nam zabrać drobne garnuszki na pamiątkę.

Po zwiedzeniu fabryki przeszłyśmy przez całe miasto na obiad. Ładnym zabytkiem jest ratusz z XVIII-go wieku, stara karczma Świerklaniec i pałac ks. węgierskich Colomannów, do których Rybnik dawniej należał.

Po objedzie pojechałyśmy koleją do Radziejowa, a stamtąd poszłyśmy do Pszowa, odległego o 5 km. Pszów jest to miejsce pielgrzymkowe Górnego Śląska. Powietrze było bardzo gorące, toteż zmęczyłyśmy się trochę, tembardziej, że okolica była górzysta. Droga była śliczna. Szłyśmy jarami lub ponad niemi, a w pierścieniu ciemnych borów majaczyły się z jednej strony Beskidy, a z drugiej kościół pszowski. Kościół ten jest bardzo ładnym barokiem z końca XVIII-go wieku. Najcenniejszym jego zabytkiem jest śliczny obraz cudowny Matki Najświętszej, umieszczony w wspaniałym wielkim ołtarzu. Po odsłonięciu ukazał się nam w bogatem oświetleniu lampek elektrycznych, z których najwyższe tworzą wezwanie „Ave Maria". Przed cudownym obrazem śpiewałyśmy wspólnie pieśni i modliłyśmy się we wszystkich naszych intencjach. Nad głównem wejściem znajduje się ciekawe malowidło, przedstawiające bazylikę św. Piotra w Rzymie i wypływające z niej 7 rzek, które w symboliczny sposób uzmysławiają nam 7 Sakramentów św.

Po podwieczorku, spożytym na plebanji, już nie czując zmęczenia, udałyśmy się z powrotem do Rybnika. Krajobraz był wprost czarujący. Słońce schowało się już za górami, pozostawiwszy długą różową smugę, na tle której ślicznie odbijały się sylwetki drzew i coraz bardziej zmniejszający się i mglisty kontur kościoła w Pszowie. Zwolna zapadał zmrok, a huty i kopalnie zajaśniały na horyzoncie tysiącem światełek, które przypominały zamieszkaną wyspę na ciemnych falach bezbrzeżnego oceanu. Na kolacji byłyśmy u państwa Białych, gdzie wszyscy pomimo kilkunastokilometrowego marszu wspaniale się czuli i bawili.

W przedostatnim dniu wycieczki przed południem zwiedziłyśmy zakład dla umysłowo chorych. Zakład ten jest bardzo duży, gdyż znajduje się w nim przeszło 700 chorych. Kierownik zakładu dr. Wilczek objaśnił nam szczegółowo sposoby leczenia chorych i różne ich kategorje leczenia, gdzie wielką rolę odgrywa zajmowanie chorych odpo-

wiednią ich zdolnościom pracą, a także usuwanie wszystkiego co ich drażni. Chorzy pracują z ochotą. Procentowo wysoką ilość chorób umysłowych na Śląsku powoduje zbyt wytężona i machinalna praca w kopalniach i hutach. Zwiedziłyśmy też oddział, w którym znajdują się dzieci, które wywarły na nas ogromnie przygnębiające wrażenie. Dzieci te pobierają naukę, której udzielają mniej chorzy. Chłopcy prezentują się cokolwiek lepiej, niektórzy nawet umieją dość dobrze czytać. Niebrak też chorym rozrywek, z których najważniejszą jest teatr i koncert, które działają kojąco na chorych.

Po objedzie zwiedziłyśmy Jankowice, odległe o przeszło 5 klm. od Rybnika. Droga prześliczna prowadzi nasamprzód parkiem, a następnie lasami i polami. W Jankowicach widziałyśmy bardzo ładny i stary, drewniany kościółek. Otoczony on jest jakgdyby werandą, to jest tak zwanemi sobotami lub podcieniami. Wnętrze nie odznacza się niczem nadzwyczajnem, natomiast na plebanji widziałyśmy księgę z XII. wieku, zawierającą bullę papieża Klemensa X-go, którą potwierdza bractwo Najśw. Sakramentu i spis członków. Po podwieczorku zwiedziłyśmy studzienkę. Jest to mała murowana kapliczka postawiona na pamiątkę cudu. Jak głosi podanie na miejscu dzisiejszej kapliczki stał dąb w którym ks. Walentyn jadący do chorej, nie chcąc wydać Przenajśw. Sakramentu Hussytom, którzy go gonili, schował Go do dębu. Następnie dąb ten zasłynął cudami, a koło niego wytrysło źródło.

O zmroku wróciłyśmy do Rybnika w więcej niż dobrych humorach, a nasza sypialnia długo jeszcze dawała tego dowody. Lecz nadszedł dzień wyjazdu. W niedzielę po mszy św. i śniadaniu z żalem opuściłyśmy przezacnego Ojca Puhałę, a także Rybnik z tak ładnemi okolicami. W Tarnowskich górach pożegnałyśmy ks. prof. Janickiego, dziękując Mu choć w paru słowach za wszystkie poniesione dla nas trudy. Nawet ostatni dzień nie obszedł się bez przygód. Jedna z dziewczynek wychyliła głowę z wagonu, a nieznośny wiatr porwał jej beret. O godz. 22·30 przyjechałyśmy do Poznania i chociaż cieszyłyśmy się z powrotu, jednak żałowałyśmy, że tak miłe i nigdy niezapomniane chwile tak prędko minęły, pozostawiając najmilsze wspomnienia nie tylko z odniesienia wielkich korzyści naukowych, lecz także niezwykłej dobroci i życzliwości z jaką wycieczkę naszą wszędzie przyjmowano.

Halina Biksicka
kronikarka wycieczki Kółka Krajozn.
gimn. SS. Urszulanek w Poznaniu.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy należy wysyłać pod adresem: **Księgarnia Orbis, Kraków—Dębniki, Barska 41.** — Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. Nr. 148.728.

Redakcja: Kraków, Grodzka 64, II p. Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia Orbis.

„Orli Lot“ wydawany jest z zapomogi Wydziału Oświaty Pozaszkolnej Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Redaktor. Leopold Węgrzynowicz. Nakładem P. T. K. w Warszawie.

Czcionkami drukarni „Sarmacja“ w Krakowie.